

16

Rząd daje lekcję



19

Znikający Polacy



77

Echa afery bananowej

Tematy tygodnia

- 12 Malwina Dziedzic
Triki Morawieckiego
- 16 Mariusz Janicki
Władza strajków się nie boi – czy słusznie?

Rozmowa Polityki

- 19 Dlaczego skracca się życie Polaka mówi demograf **prof. Irena Kotowska**

Polityka

- 22 Rafał Kalukin
PSL – kluczowi obrotni
- 25 OGŁĄD I POGLĄD Rafał Matyja
Czy opozycja sobie poradzi

Społeczeństwo

- 28 Marta Mazuś **Hejterzy znad Wisły**
- 32 Juliusz Ćwieluch
Dietetyczna kuchnia więzienna
- 34 Marta Mazuś **Zbiórki narodowe**

Rynek

- 36 Iwona Jakubowska-Branicka, Mateusz Grochowski
Pałapki chwilówek
- 39 O skutkach fatalnej gospodarki wodnej mówi **prof. Andrzej Kraszewski**, były minister środowiska

Świat

- 44 Artur Domosławski
AMERYKA ŁACIŃSKA
Ostry kurs Trumpa
- 46 Adam Krzemiński **NIEMCY**
Wielki remanent po 1989 r.
- 49 Noblistka **Swietłana Aleksijewicz**
o wyborze postsowieckich sąsiadów oraz snach Łukaszenki i Putina
- 51 Paweł Kowal **UKRAINA**
Zagraniczny test Zelenskigo

Historia

- 53 Sebastian Ligarski, Grzegorz Majchrzak
„Dziennik Telewizyjny”
– propagandowa tuba władzy w PRL
- 56 **Laureaci Nagród Historycznych**
POLITYKI 2019 i sprzed 60 lat

Nauka

- 58 Agnieszka Krzemińska
Genetyczne śledztwo
w sprawie niewolników
- 61 Grzegorz Pacewicz
Kariera kostki Rubika

Ludzie i style

- 64 Mariusz Herma
Fińskie wioski przedsiębiorczości
- 68 Marcin Piątek
Pechowa Formuła Kubicy

Kultura

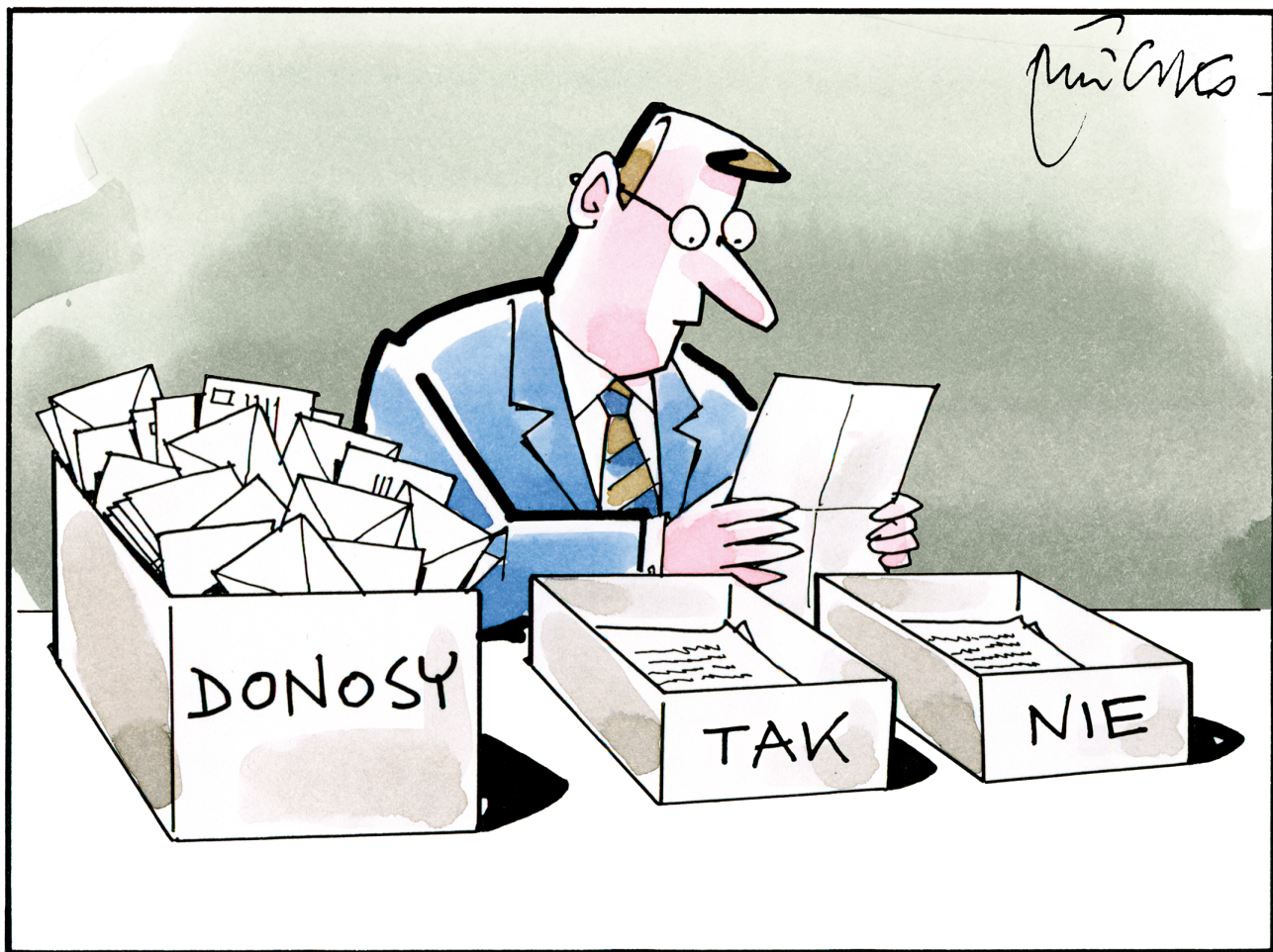
- 74 Bartek Chaciński
W muzyce wracają lata 90.
- 77 Piotr Sarzyński
O cenzurze w sztuce
- 80 Justyna Sobolewska
Strategia Houellebecqa
- 82 Rozmowa z **autorami dokumentu**
„Antropocen: epoka człowieka”,
który pokaże festiwal
Millennium Docs Against Gravity
MEA PULPA
- 84 **Kuby Wojewódzkiego**
- 91 Jacek Żakowski
Nieobecność Modzelewskiego

Na własne oczy

- 92 Agnieszka Krzemińska
Sekrety starożytnych
wraków

Stałe rubryki

- 5 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 42 Przegląd informacji rynkowych
- 70 Afisz • 85 Fusy
- 86 Chutnik i Plebanek
- 87 Passent • 88 Hartman
- 90 Do i od redakcji
- 98 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Ofiary rewolucji

Niektórzy hierarchowie otwarcie mówią o tym, jaką krzywdę wyrządziły polskiemu Kościołowi lata 60. Metropolita krakowski abp Jędraszewski nie kryje, że polski Kościół do dziś płaci za te lata straszliwą cenę. Wielu duszpasterzom owe mroczne czasy złamały życie – nieszczęsny ci pogubili się i „ulegli zgubnemu duchowi, który objawił się m.in. w postaci tzw. rewolucji obyczajowej”, czego efektem są dziś tysiące seksualnie wykorzystanych przez nich wiernych. Tym kapłanom, apeluje abp Jędraszewski, trzeba okazać miłosierdzie, bo zła, którego się dopuścili, dopuścili się z winy rewolucji, której zgubne skutki, niestety, trwają m.in. w postaci wprowadzenia do polskich szkół ideologii gender i standardów światowej edukacji zdrowia, co pozbawia polskie dzieci niewinności i nieuchronnie prowadzi do ich deprawacji już w wieku przedszkolnym. Ofiarami rewolucji lat 60. padli zresztą nie tylko polscy księża, ale również polscy artyści. Zdaniem obecnej władzy na skutek tej rewolucji sztuka niektórych artystów jest dziś tak nowoczesna, że obraża poczucie przyzwoitości i bliskie Polakom wartości, nie tylko religijne. Weźmy prezentowany w Muzeum Narodowym osławiony cykl fotografii i wideo „Sztuka konsumpcyjna”, na których atrakcyjna blondynka wkłada sobie do ust banana. Niektórzy widzowie nie kryją oburzenia tym, w jak nieprzyzwoity i obrażający kobiety sposób go wkłada, i pytają, po co to robi,



bo przecież po jej minie wyraźnie widać, że nie dlatego, że chce jej się jeść.

Nie jestem przeciwko sztuce nowoczesnej polegającej na fotografowaniu jedzenia bananów przez kobiety, ale zgadzam się z tymi, którzy uważają, że zadaniem sztuki powinno być przede wszystkim pokazywanie, jak dana kobieta ma tego banana jeść, żeby nie wywoływać niezdrowego podniecenia i nie obrażać niczych wartości. Z tym że, zważywszy na kontrowersyjny kształt banana, jest pytanie, czy porządna kobieta powinna go w ogóle brać do ręki w sytuacji, gdy wiadomo, że musi to wywołać nieprzychylnie komentarze i oburzenie niektórych środowisk.

W ostatnich latach partia rządząca pokazała, że grupy zawodowe takie jak sędziowie czy nauczyciele w zasadzie nie są do niczego potrzebne i można je zastąpić kimś innym. Po skandalu z kobietą jedzącą banana jest pytanie, czy są nam do czegoś potrzebni współcześni artyści? Podobnie jak dyrektor Muzeum Narodowego uważam, że jeśli mają oni tworzyć dzieła takie jak „Sztuka konsumpcyjna”, to niech już lepiej nic nie tworzą. A jeśli sztuka współczesna musi w ogóle istnieć, może jej tworzenie warto za pomocą ustawy sejmowej zlecić środowiskom bardziej odpowiedzialnym, np. strażakom lub leśnikom.

Nagła miłość



Mariusz Janicki

Piętnasta rocznica wstąpienia Polski do Unii Europejskiej, choć momentami podniosła i radosna, paradoksalnie przebiegała wśród rozważań o polexitie. Dyskusje ożywiło stwierdzenie szefa Komisji Europejskiej Jeana-Claude'a Junckera, że PiS nie doprowadzi do polexitu. Rządząca prawica triumfowała, a politycy opozycji byli wyraźnie zakłopotani i próbowali nawet dyskredytować zarówno słowa przewodniczącego Junckera, jak i jego samego. Role się więc odwróciły, bo dotąd to PiS atakował szefa Komisji, a opozycja go broniła. Całe to zamieszanie wynika z nieporozumienia. Juncker w istocie powiedział tyle, że PiS nie złoży wniosku o wystąpienie Polski z Unii Europejskiej. Bo po prawdzie, jeśli nie zostanie uruchomiona jakaś nieznana dzisiaj polityczna dynamika, to po co partia Jarosława Kaczyńskiego miałaby to robić? Rządowi Morawieckiego pieniądze unijne są niezbędne, Polacy, co pokazują badania opinii publicznej, nie wyobrażają sobie wyjścia kraju z europejskiej wspólnoty. Jednocześnie – jak wynika z niedawnego badania dla POLITYKI – 58 proc. Polaków nie boi się, że polityka PiS doprowadzi do wystąpienia Polski z Unii, obawia się tego 31 proc., z czego „zdecydowanie” tylko 12 proc. To nawet grubo poniżej sondażowego poparcia dla Koalicji Europejskiej.

Trzymanie się przez opozycję hasła pisowskiego polexitu odciąga uwagę od rzeczywistych celów obozu rządzącego, który wykorzystuje Unię do polityki wewnętrznej, jak partia Viktora Orbána na Węgrzech. Unia jest dla PiS punktem odniesienia i inspiracją dla walki ideologicznej z „lewactwem”, „atakami na tradycję”, z „dominującą pozycją Niemiec” i „szarogęsieniem się” Francji. Dalekosiężny plan zaś polega na tym, mówią o tym rządzący politycy z Polski, Węgier czy Włoch, aby w końcu przejść samą Unię, jeśli nie po najbliższych wyborach do Parlamentu Europejskiego, to po następnych. Kampania polityczna w liberalnej Europie polega zatem nie tyle na utrzymaniu Polski – i innych krajów, gdzie rządzi eurosceptycy – we wspólnocie, ile na batalii o samą Unię. To po pierwsze, a po drugie, jeśli Unia pozostanie w dotychczasowej postaci, chodzi o to, aby Polska nie znalazła się na jej obrzeżach, izolowana, skłócona z partnerami, odsuwana od decyzyjnego centrum. Z ewentualnym zmniejszeniem funduszy za naruszanie praworządności i z walutą euro w stuletniej perspektywie.

Jakiej Unii Europejskiej chce PiS, to wiadomo po wielu choćby ostatnich wypowiedziach polityków tej partii: ma to być wspólnota czysto gospodarcza – „węgla i stali”, nadal wypłacająca miliardy euro pomocy, ale niewtrącająca się, kiedy ustroje państw członkowskich oddalają się od zasad liberalnej demokracji, naruszana jest niezawisłość sądownictwa, prawa mniejszości i opozycji, niezależność mediów itp. Co prawda w swoim ostatnim orędziu prezydent Duda ogłosił, że „Unia Europejska to my”, ale może lepiej, aby to osobiście powiedział Krystynie Pawłowicz, która nazwała flagę UE szmatą, czy Beacie Szydło, za której premierostwa unijne flagi usunięto z siedziby rządu. Sam Duda, nawołujący teraz do umieszczenia Unii w polskiej konstytucji, kiedyś nazwał tę organizację „wymyśloną

wspólnotą”. Wygląda to wszystko na akcję: kochamy Unię aż do 26 maja.

Demokratyczna opozycja powinna zatem pokazywać, jakiej Europie chce PiS, jak daleko ta wizja odbiega od standardów w pełni demokratycznego państwa, i że każdy mandat w PE więcej dla ugrupowania Kaczyńskiego i im podobnych przybliża realizację tej wizji. Bo wartością nie jest jakkolwiek Unia Europejska, ale taka, do której Polska przystępowała 15 lat temu, pozostająca w umiarkowanym nurcie, oczekująca od państw członkowskich zachowania liberalnych, wolnościowych zasad, praw i procedur. To nie polexit jest zagrożeniem, ale to, że to dawna Unia może niejako „wystąpić” z nowej Unii, jeśli przewagę w jej instytucjach zdobędą w końcu takie partie jak PiS.

Prezes Kaczyński powiedział ostatnio: „po raz pierwszy od długiego czasu sądzę, że (...) jest szansa na zmianę, na to, że PE będzie przynajmniej w istotny sposób inny niż poprzedni, jeśli chodzi o swój skład. (...) jest szansa na to, że osłabnie przynajmniej ten atak, który trwa od dłuższego czasu na Polskę (...)”. Przekładając to na konkrety: szef PiS ma nadzieję, że nowy europarlament i Komisja Europejska przestaną się zajmować polskim Sądem Najwyższym, Trybunałem Konstytucyjnym, KRS. Najkrócej rzecz ujmując: albo PiS zmieni Unię na swoje podobieństwo, albo będzie z nią nieustannie, jak dotychczas, walczył i ciągnął w dół cały kraj. Specyficzną filozofię, bardzo charakterystyczną dla PiS, przedstawił w wywiadzie dla radiowej Zetki Witold Waszczykowski, kandydat na europośla: najpierw zarzucił Donaldowi Tuskowi, że ten nie pomagał rządowi PiS przez ostatnie lata, choć szukano z nim kontaktu, a potem były szef MSZ oburzał się, że Tusk ingeruje w sprawy polskie, co w przypadku przewodniczącego Rady Europejskiej jest niedopuszczalne. Czyli jak z Unią: ma pomagać i nie wtrącać się.

Wniewo zmienionej postaci nawiązał do tej frazy sam Donald Tusk w swoim wykładzie na Uniwersytecie Warszawskim, cytujący szefa PiS: nie przeszkadzać i popierać. Ale chyba najgłębsza myśl z jego wystąpienia dotyczyła istoty proeuropejskości, kiedy powiedział, że ostatni euroentuzjizm prezydenta Dudy będzie weryfikowany tym, na ile przestrzegana będzie przez niego konstytucja. Bo ustawa zasadnicza – jej przestrzeganie – jest kwintesencją państwowego ładu, równości wobec prawa, niezależności instytucji, szacunku dla mniejszości – a więc naczelnymi wartościami liberalnej Europy (więcej o wykładzie Tuska na s. 8).

Miniony konstytucyjno-unijny tydzień dobrze pokazał, kto jest kim – i na ile szczerze – w polskiej polityce. Ten czas był bardzo potrzebny przed wyborami do Parlamentu Europejskiego. Przywołując znany przed laty przebój, było lepiej widać, lepiej słyszeć, a poczuć muszą już sami wyborcy.

Jan Koza



Jak czytać sondaże

Jeśli nie powinniśmy na coś narzekać w kampanii europejskiej, to na deficyt sondaży. Bywa, że jednego dnia ukazują się dwa badania, których wyniki konkurują ze sobą w internecie i telewizji. „Koalicja Europejska przed PiS”, „PiS przed Koalicją Europejską”, „Wiosna pod progim”, „Wiosna nad progim” – wszystko to słyszeliśmy w marcu i kwietniu, a do 26 maja usłyszymy jeszcze więcej.

Oto miniprzewodnik po sondażach

1. **Sprawdź metodę.** Sondaże telefoniczne (CATI) sprawdzają się ostatnio lepiej niż te przeprowadzane w domach ankietowanych (CAPI) – zapewniają większe poczucie anonimowości, a próba może być w pełni reprezentatywna, bo praktycznie wszyscy dorośli Polacy mają telefon komórkowy lub stacjonarny. Metoda CAPI zwiększa zaś prawdopodobieństwo uzyskania wyższego niż w badaniach telefonicznych wyniku partii rządzącej. Bezwartościowe są wszelkie internetowe sondy; ostrożnie należy podchodzić też do sondaży internetowych, bo wciąż nie wszyscy Polacy korzystają z internetu.

2. **Zobacz, jaki był odsetek niezdecydowanych.** Część ankietowanych – od kilku do prawie 20 proc. – twierdzi, że będzie głosować, ale jeszcze nie wie, na kogo. Niektórzy z nich nie zgłaszają wcale (deklarowana frekwencja jest zawsze wyższa niż rzeczywista), inni wolą nie przyznawać się do swoich gustów. Dużo zamieszania zrobiły ostatnio dwa telefoniczne sondaże firmy Kantar, zrealizowane przez różne zespoły badawcze. Badanie dla POLITYKI wykazało znacznie większą przewagę PiS nad KE niż to zlecone przez TVN. Zdecydował o tym zapewne dużo wyższy odsetek osób niezdecydowanych w sondażu dla naszego tygodnika.

3. **Sprawdź, jak zostały przedstawione wyniki.** Rezultaty sondażu można przedstawić na dwa sposoby: w wersji z niezdecydowanymi wyborcami albo bez nich. W tym drugim przypadku procentowe poparcie dla partii sumuje się do 100, a niezdecydowani są „rozdzielani” między ugrupowania proporcjonalnie do ich poparcia. Powinna temu towarzyszyć informacja, ilu takich niezdecydowanych wyborców było.

4. **Uważaj na trend.** Sondaż zawsze może po prostu nie wyjść. Do badania, które jest jaskrawo sprzeczne z trendem widocznym w większości innych sondaży, należy podchodzić wyjątkowo ostrożnie, bo – jak do znużenia przypominają socjologowie – jeden sondaż to żaden sondaż. Dlatego warto śledzić uśrednione notowania partii z różnych ośrodków badawczych.

5. **Pamiętaj, że to wyjątkowe wybory.** Dotychczasowe wybory europejskie w Polsce przebiegały według tego samego wzoru: przy niskiej frekwencji generalnej (ok. 25 proc.) zdecydowanie bardziej zmobilizowani byli wyborcy w dużych miastach niż na wsi. Z tegorocznych sondaży wynika jednak, że tym razem zanosi się na dużo wyższą frekwencję, a mieszkańcy wsi są mocno zdeterminowani do głosowania. Nie wiemy, jak się to przełoży na zachowanie wyborcze 26 maja, i żadne ogólnodostępne badania tego nam raczej nie powiedzą.

A co mówią sondaże dotychczasowe? W kwietniu na prowadzeniu umocnił się PiS z poparciem ponad 40 proc. Partia sama wiele nie zyskała w porównaniu z marcem, ale spadły notowania KE, która straciła kilka punktów, zapewne na rzecz Wiosny. Partia Roberta Biedronia ma ok. 10 proc. poparcia. W okolicach progu balansują Kukiz'15 (raczej stagnacja) i Konfederacja (lekki wzrost), a wyraźnie pod progim pozostaje Lewica Razem. (WBS)

Przegrana Macierewicza

Kolejny proces, kolejna przegrana byłego ministra obrony Antoniego Macierewicza – każda bardziej spektakularna od poprzedniej, odslaniająca szerszy kontekst i motywacje. Tym razem dotycząca głośnego „nocnego wejścia” w grudniu 2015 r. do Centrum Ekspertki Kontrwywiadu NATO na polecenie szefa MON. Ludzie z jego resortu na czele z niesławnym rzecznikiem Bartłomiejem M. wtargnęli do siedziby CEK, wyłamując zamki, prując szafy pancerne, a nawet rozbierając ściany.

Warszawski Sąd Okręgowy umorzył właśnie postępowanie z oskarżenia saskiej prokuratury przeciwko byłemu szefowi CEK płk. Krzysztofowi Duszy i byłemu szefowi Komitetu Sterującego CEK gen. Piotrowi Pytłowi. Oznacza



to oczyszczenie ich ze wszystkich zarzutów, m.in. niedopełnienia obowiązków. Bartłomiej M., który od kilku miesięcy siedzi w areszcie w związku z działaniami korupcyjnymi, twierdził, że Dusza i Pytel dopuścili się wyniesienia dokumentów ścisłe tajnych. Podobny zarzut sformułowała również prokuratura.

Sąd – na razie nieprawomocnie – orzekł jednak, że w gruncie rzeczy wszystkie te oskarżenia są nic niewarte, bo nie było

żadnych dowodów na winę oficerów, a tym samym podstaw do sporządzenia aktu oskarżenia. Są za to dowody na to, że kierujący akcją sami naruszyli prawo. Do tego sprzeczają się dwie ekspertyzy, które zamówił przewodniczący składu orzekającego sędzia Marek Celej. Wynika z nich, że CEK NATO było jednostką o charakterze międzynarodowym, niezależną od rządu, w tym od MON. Tym samym nie tylko samo „nocne wejście” było nielegalne, ale też przeszukanie pomieszczeń CEK i odwołanie obu oficerów ze stanowisk. Ta sprawa jest również badana przez prokuraturę na polecenie sądu, ale postępowanie od ponad dwóch lat się ślimaczy.

Pozostaje pytanie: dlaczego Macierewicz zdecydował się na tak radykalne działanie jak siłowe wejście do siedziby instytucji międzynarodowej? To tym bardziej dziwne, że mógł przejąć kontrolę nad CEK, uruchamiając procedurę odwołania jego szefów. Tyle że to potrwałoby dłużej. (GR)



© JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Magnes Tuska

Święta narodowe od jakiegoś czasu dostarczają najbardziej wymownych obrazów rozpadu polskiej wspólnoty. Choć zdawałoby się, że niepodległość i konstytucja nie są ani lewicowe, ani prawicowe. Niestety po 2015 r. rozumienie tych pojęć tak dalece się rozjechało, że już nie jesteśmy w stanie świętować wspólnie. Każda ze stron robi to we własnym gronie, ze swoimi autorytetami i dostojnikami.

Dla Polski demokratycznej i wolnościowej kimś takim jest Donald Tusk. Potwierdził to trzeciomażowym **wykładem na Uniwersytecie Warszawskim**. Jak można się było domyślać, Tusk wykorzystał okazję do skrytykowania będących z konstytucją na bakier rządów PiS. Co przeciwnicy skwitowali wzruszeniem ramion, że nie powiedział niczego nowego. Nie o to jednak chodziło, zresztą były premier nigdy nie był ideowym innowatorem. Istota jego wystąpienia polega na umiędzynarodowieniu osadzania znanych prawd w szerokiej perspektywie (czasem dziejowej, a czasem współczesnej), swoistego ich dociążania, obudowywania świeżymi kontekstami. Potrafi przy tym kunsztownie łączyć

elementy wykładu historycznego, ostrego politycznego pamfletu, polemiki z przeciwnikiem, osobistej refleksji, programu działania.

Tusk polemizował z hasłem PiS „Polska sercem Europy”. Niby proeuropejskim, w istocie – nacjonalistycznym, akcentującym domniemaną polską wyjątkowość. Zdaniem Tuska tragiczną byłaby alternatywa pomiędzy prężnym nacjonalizmem i melancholijnym, pograżonym w dekadencji liberalizmem. Trzeba iść dalej, walczyć o utrzymanie projektu europejskiego oraz liberalnej demokracji. Zwłaszcza teraz, gdy zmiany technologiczne i klimatyczne wywołują zagrożenia, z którymi musimy sobie wspólnie radzić. Ludzkość nacjonalistycznie podzielona nie jest do tego zdolna. Tusk zresztą apelował, aby – nieco na przekór logice rozszczępionego święta – także w kraju obniżyć temperaturę sporu, a w przyszłości pokrozić pokusę politycznej zemsty na dziś rządzących.

Audytoryum było zachwycone, nawet jeśli czegoś w tym wystąpieniu zabrakło. Bo do tej pory krajowe prezentacje Tuska układały się przecież w sekwencję. Jakby za każdym razem odsłaniał kolejną kartę, powoli rozkodowując tajemny plan. 11 listopada w podobnym wykładzie zapowiadał przecież „nieformalny komitet, który zorganizuje wielkie, publiczne, na miarę historyczną wydarzenie 3 maja”. Nic takiego nie miało jednak miejsca. Jeśli plan istnieje, to realizacja utknęła w miejscu.

Tylko czy to powód do niedosytu? Od listopada zmienił się polityczny kontekst. Zjednoczona na wybory europejskie opozycja aktualnie nie potrzebuje zewnętrznego męża opatrnościowego. Autorytet Tuska nie znajduje więc pola do politycznego działania. Przynajmniej do 26 maja, kiedy dokonana zostanie wyborcza weryfikacja Koalicji Europejskiej. I jeśli wypadnie pozytywnie, projekt Grzegorza Schetny będzie kontynuowany bez poważniejszych zmian. Sytuacja ulegnie jednak zmianie w razie porażki KE. Wtedy kolejne wystąpienie Tuska może naprawdę zmienić polityczną geografę kraju. Już niedługo, bo 4 czerwca, w jego rodzinnym Gdańsku. (RK)

Rząd promuje partię

Na trwającą właśnie kampanię do Parlamentu Europejskiego komitety wyborcze mają prawo wydać o milion złotych więcej niż w 2014 r. Komitety, które zarejestrowały listy w całej Polsce (sześć z dziesięciu: KE, PiS, Lewica Razem, Wiosna Biedronia, Konfederacja, Kukiz'15), zgodnie z Kodeksem wyborczym mogą przeznaczyć na promocję po 19,2 mln zł. PiS prawdopodobnie wyda cały limit. Władze partii są przekonane, że wygrana w eurowyborach przybliży ich do zwycięstwa jesienią.

Ale partia Kaczyńskiego zamierza też sięgnąć do finansowego zaplecza rządu. Kancelaria Premiera właśnie rozstrzygnęła przetarg na produkcję trzech spotów telewizyjnych i trzech radiowych (będą emitowane także w mediach społecznościowych). Zapłaci za nie 762 tys. zł. Zgodnie z zamówieniem spoty mają „informować o programach rządowych, prezentować, jakie zmiany odczuwają beneficjanci programów”. KPRM życzy też sobie, aby „język komunikacji był prosty i zrozumiały z jednoznacznym przekazem, nie powinien zawierać zbyt wielu komunikatów. Spoty mają mieć pozytywny przekaz, wzbudzać pozytywne emocje, przykuwać uwagę, być autentyczne i naturalne”.

Na rozstrzygnięcie czekają jeszcze dwa przetargi: jeden na kampanię reklamową w internecie (celem jest: 2 mln wyświetleń postów i 2 mln odsłon spotów na Facebooku, a także 4 mln wyświetleń reklam w Google), drugi na zakup reklam w dwóch gazetach ogólnopolskich (prawdopodobnie w „Fakcie” i „Super Expressie”). Na każdą z tych kampanii KPRM chce wydać po 762 tys. zł. Kancelaria Premiera oczekuje m.in. gwarancji, że w dniu publikacji reklamy rządowej w tabloidzie na „stronach sąsiadujących z wykupioną powierzchnią reklamową nie będą publikowane treści o charakterze sensacyjnym i deprecjonującym Zamawiającego”, czyli rząd. Grupą docelową kampanii ma być „ogół społeczeństwa” (kobiety, mężczyźni 18+, czyli głoszący), ze szczególnym wyróżnieniem: „potencjalnych beneficjentów programów rządowych, rodziców małych dzieci, młodych małżeństw, emerytów i rencistów pobierających świadczenia od państwa, osób pracujących do 26. roku życia, planujących otwarcie własnej działalności gospodarczej, osób zamieszkujących małe miejscowości i wsie, w których nie ma połączeń autobusowych”.

Oczywiste, że chodzi o tzw. piątkę Kaczyńskiego, która obejmuje 500+ od pierwszego dziecka, świadczenie dla emerytów i rencistów, zerowy PIT dla młodych pracowników, przywrócenie zredukowanych połączeń autobusowych i obniżenie kosztów

pracy. Na „piątkę” PiS buduje swoją kampanię wyborczą, dlatego jej promocja powinna być opłacana z pieniędzy partyjnych, nie zaś rządowych. Tymczasem do kampanijnego limitu PiS (19,2 mln) rząd Morawieckiego dorzuci blisko 2,3 mln zł (nie mówiąc już nawet o 1,2 mld zł dla TVP). W ten sposób PiS łamie zasadę równości wyborczej. Jak jednak uważa dr Grzegorz Makowski, ekspert forum Idei Fundacji im. Stefana Batorego, obowiązujące przepisy o finansowaniu kampanii nie pozwalają jasno rozgraniczyć, co jest komunikowaniem polityki rządu, a co jest agitacją wyborczą: – *PiS z tego korzysta i robi to, co robi. Jest to nieprzyzwoite, bo czy jesteśmy wyborcami PiS, czy nie, składamy się na kampanię tej partii. No ale przyzwoitości w dzisiejszej polityce jest jak na lekarstwo.*

Skąd komitety mają pieniądze? Mogą zbierać środki tylko od polskich obywateli, ale od jednej osoby nie mogą dostać więcej niż 33 750 zł. Kandydat na posła do PE może wesprzeć kampanię wyższą kwotą – 101 250 zł. Od frekwencji w wyborach będzie zależeć wysokość dotacji, jaką partie otrzymają z budżetu państwa w zamian za zwycięstwo swoich kandydatów. W 2014 r. do urn poszło 7,3 mln Polaków i właśnie 7,3 mln zł partie dostały do podziału na zwrot kampanijnych wydatków. Im wyższa frekwencja, tym więcej będą miały pieniądze do podziału. (DAB.)



Coraz mniejsza wyspa

Karol Marks powiedział kiedyś, że historia najpierw wydarza się jako tragedia, a potem powtarza jako farsa. W przypadku Wielkiej Brytanii mamy do czynienia z procesem raczej odwrotnym. Angielski faszyzm najpierw wydarzył się jako farsa, a dopiero dziś zaczyna przegradzać się w siłę, która doprowadziła do narodowej tragedii, jaką stał się brexit.

Kiedy w latach 30. na horyzoncie brytyjskiej polityki pojawił się Oswald Mosley ze swoim ugrupowaniem otwarcie sprzyjającym Hitlerowi i jego nowym porządkom, uzyskał on niewielkie wsparcie kilku renegackich rodów arystokratycznych. Reszta publiczności potraktowała go tak, jak na to zasłużył: jako dziwaka – „nazistę z księżycą” – którego umiłowanie autorytarnych metod nie przystaje do brytyjskiej tradycji parlamentarnej.

Nie znaczy to, rzecz jasna, że Zjednoczone Królestwo to arkadia wolna od rasizmu i suprematystycznych ideologii w Kiplingowskim stylu „brzemienia białego człowieka”; cała kolonialna historia Wyp podsyta jest przekonaniem o wyższości białej rasy. Jednocześnie jednak zasada imperium oznaczała koegzystencję wielu ras i etnosów, nawet jeśli mniej lub bardziej otwarcie zhierarchizowaną, co sprawiło, że nawoływania Mosleya, by oczyścić Anglię z obcej krwi (zwłaszcza żydowskiej), wydawały się absurdalne. Jak bowiem imperium może być narodowo czyste? Paradoksalnie zatem to świadomość imperialna uchroniła Anglię lat 30. przed rozpanoszeniem się faszystowskich nastrojów.

Dziś już jednak imperium nie ma i choć namawiające do brexitu tabloidy nie raz uderzały w ton imperialny, głosząc, że oto *empire strikes back*, Wielka Brytania stała się państwem narodowym jak wiele innych na świecie, borykającym się z tymi samymi kłopotami, w tym zwłaszcza z problemem na linii globalizacja–suwerenność. Wielu komentatorów twierdzi, że za brexit odpowiedzialna jest imperialna nostalgia, która rozbudziła nadzieję na powrót złotych czasów brytyjskiej gospodarki, kiedy to wyspiarski przemysł, obchodząc wszelkie reguły wolnorynkowej konkurencji, mógł liczyć na automatyczny zbytni swoich produktów w krajach „zaprzyżnionych”. W państwie, w którym panuje gigantyczne i wielopokoleniowe bezrobocie strukturalne, powstałe po gwałtownym zaniku przemysłu w trakcie „rewolucji thatcherowskiej”, tego rodzaju nostalgia za prostą i łatwo dostępną pracą w fabryce jest oczywiście zrozumiała. Twierdzą jednak, że to nie imperializm, ale właśnie nacjonalizm Brytyjczyków jest powodem, dla którego większość z nich zagłosowała za brexitem: nacjonalizm jako nowe zjawisko, charakterystyczne dla dzisiejszych państw narodowych, które zmagają się z globalnym kapitalizmem, próbując ratować resztki politycznej suwerenności.

Chwytliwe hasło Dominicka Cummingsa, które wygrało kampanię *brexitową*: *take back the control* (odzyskać kontrolę) umiejętnie połączyło element nostalgiczny z nowym wyzwaniem, czyli z poczuciem braku politycznej kontroli nad globalizacją i jej wewnętrznymi ruchami, bardziej przypominającymi fizykę oceanu niż ludzkie zjawisko: jednoczesnym odpływem kapitału i przyływem imigrantów. Kampania *bremainowa* (za pozostaniem – *remain* – w UE), od początku niemrawa, nie miała sloganu o równej mocy: *UK stronger in Europe* (Zjednoczone Królestwo silniejsze w Europie), choć prawdziwsze i bardziej realistyczne, nie zdołało chwycić byka za rogi. Dla jednych – wciąż jeszcze nawykłych do myślenia o Wielkiej Brytanii jako wiodącym mocarstwie – hasło to było wręcz upokarzające. Gdyby brzmiało: *UK strongest in Europe* (Brytyjczycy najsilniejsi w Europie), wówczas być może byłoby o co walczyć. Innym nikt przekonująco

nie wyjaśnił, dlaczego UK jako izolowane państwo narodowe nie poradzi sobie w warunkach „oceanicznej” globalizacji i z tego też powodu powinno pozostać w strukturze UE. Skoro bowiem Wielka Brytania i tak jest „silna”, to może warto posłuchać Farage’a, który twierdził, że po brexicie gospodarka wprawdzie trochę straci, ale zyski będą ogromne: odzyskana suwerenność i mniej polskich imigrantów zabierających „naszym” i zasiłki, i pracę.

Podczas gdy więc Cummings postawił na kasandryczną retorykę *alt-rightu*, sugerującą, że jeśli Wielka Brytania nie odzyska narodowej kontroli nad procesem globalizacji, to całkowicie zniknie pod zalewem i fali cudzoziemców, i obcej angielskiemu duchowi wolności brukselskiej biurokracji – kampania *bremainowa* unikała dramatycznych skojarzeń i tym samym nie przygotowała Brytyjczyków na efekty brexitowej katastrofy. Była letnia, słaba i pozbawiona przywództwa: torysi przeprowadzali ją bez przekonania, bojąc się nacisków ze strony swoich probrexitowych partyjnych kolegów, zaś laburzyści od początku byli skłóceni, mając za lidera Jeremy’ego Corbyna, wciąż uparcie wierzącego, że kiedy Wielka Brytania uwolni się od unijnego molocho, zrealizuje w niej swój utopijny sen o „socializmie w jednym kraju”.

Także zatem w Zjednoczonym Królestwie narodził się dzin nowoczesnego nacjonalizmu, żądający politycznej kontroli nad globalizacyjnym żywiołem. Rozpoczął proces, który najprawdopodobniej zakończy się rozpadem tej resztki imperium, jaką dziś jeszcze Królestwo stanowi. Faszyzujący nacjonalizm Mosleya, nakazujący wynosić się z Wyp obcym, mógł brzmieć farsowo i niewiarygodnie w sytuacji imperium, nad którym słońce nigdy nie zachodzi. Dziś jednak, kiedy Anglia uświadamia sobie, że jest w końcu tylko małą wyspą, wizja potopu imigrantów i uchodźców budzi realne masowe przerażenie (i to nie tylko wśród czytelników tabloidów, także wśród całkiem skądinąd progresywnych studentów). A skoro na tej „małej wyspie” nie ma już miejsca na imperialną wielość ras i nacji, to zaczynają pojawiać się tarcia na linii wewnętrznie brytyjskiej: Irlandczycy z Belfastu znów zaczynają się buntować przeciw angielskiej hegemonii, Szkoci mają dość konfliktu z Europą, w której woleliby pozostać i tylko czekać, jak Walia też zechce przeprowadzić referendum niepodległościowe.

Nowy nacjonalizm, raz obudzony na Wyspach, będzie szerzył się jak epidemia, podsycając złudną wiarę, że kiedy tylko „nasi” wezmą się w garść i zorganizują, to „odzyskają kontrolę” nad globalnym chaosem. Jedyną więc szansą na to, aby doszło do drugiego referendum, jest nowa strategia *bremainowa*, która przede wszystkim uderzy w tę iluzję. Bo gdyby miała ona wyglądać równie letnio i defensywnie jak ta ostatnia, to z góry można przewidzieć rezultat: kolejną wygraną nacjonalistycznej opcji wyjścia.

Agata Bielik-Robson – profesor filozofii w Polskiej Akademii Nauk oraz profesor Studiów Żydowskich na Wydziale Teologii Uniwersytetu w Nottingham. Mieszka w Warszawie i Nottingham. Jej esej pt. „Ucieczka od poczytalności” publikujemy w najnowszym wydaniu „Niebędniaka Współczesnego”.

Wenezuela – na scenie i za kulisami

Jak w prawdziwym teatrze, spektakl międzynarodowy pt. Wenezuela miał w zeszłym tygodniu scenę dla publiczności i kulisy dla odtwórców ról. Na scenie widać było, że przeciwnicy autokraty Nicolasa Madura zyskali poparcie części wojska. I że uwolniono z aresztu domowego lidera opozycji Leopolda Lopeza, który wraz z Juanem Guaidó – samozwańczym prezydentem i przewodniczącym parlamentu – dał się sfilmować na tle koszar w otoczeniu grupy żołnierzy. Puszczony w obieg filmik miał sugerować, że armia przechodzi na stronę opozycji, a obaj oponenti Madura ogłosili, że kres jego autokracji jest bliski.

Zgodnie ze scenariuszem opozycji na ulice miały wyjść setki tysięcy przeciwników rządu, a presja Stanów Zjednoczonych – zastraszyć autokratę. W spektaklu dla Wenezuelczyków i publiki światowej mówiono też o samolocie, który czekał na lotnisku, żeby zabrać na Kubę uciekającego z kraju Madura. Gdy wydawało się, że upadek jest tuż-tuż, Waszyngton ujawnił, że trzy ważne postacie reżimu – minister obrony, dowódca Gwardii Narodowej i prezes Sądu Najwyższego – w niejawnych rozmowach z opozycją opowiedziały się za odejściem autokraty.

Nagle jednak nastąpił zwrot akcji. Okazało się, że wojsko stoi twardo za Madurem, a zbuntowała się jedynie niewielka grupa niższych oficerów. Na ulice wyszli przeciwnicy rządu, ale było ich wielokrotnie mniej niż liczyli liderzy opozycji. Gdy Waszyngton ustami Johna Boltona, doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego, ogłaszał w ramach

wojny psychologicznej, że Maduro jest niemalże politycznym trupem, było dokładnie na odwrót: Maduro odzyskiwał siły. Plan przeciwników rządu, którzy, istotnie, układali się po cichu z częścią obozu Madura, zakończył się – jak na razie – totalnym fiaskiem.

Spekulacje i pogłoski, jakie docierają z Caracas, sugerują, że odpowiedzialny za wywrócenie misternie układanego planu jest uwolniony z aresztu domowego Leopoldo Lopez. Jest to polityk uważany nawet przez część opozycji za ekstremistę. Lopez nie chciał się zgodzić na „godne odejście” Madura, jak mówią ludzie sprzyjający pokojowemu zakończeniu politycznego pata, ani na to, by obóz władzy był partnerem w dziele transformacji kraju. Ludzie obozu rządzącego, skłonni do paktowania z opozycją, wrócili więc do swoich szeregów.

Do następnej próby odsunięcia Madura dojdzie z pewnością już wkrótce – większość Wenezuelczyków ma dość jego rządów – ale może to być jeszcze trudniejsze niż do tej pory.

O roli USA w Ameryce Łacińskiej – na s. 44.

Diesle jadą do Afryki

Do portu Kotonu w Beninie przyplwają codziennie 25 tys. samochodów, w większości to wysłużone diesle z Europy i USA. Poza RPA, Algierią, Marokiem i Egiptem żaden afrykański kraj nie produkuje samochodów, więc zdane są na import. 98 proc. z ok. 4 mln sprowadzanych tu co roku samochodów jest używanych, 27 krajów nie wprowadziło dotąd żadnych ograniczeń, jeśli chodzi o wiek i stan sprowadzanych aut. Benin jest czymś w rodzaju lokalnej górkę rozrządowej; stąd samochody ruszają w podróż głównie do Nigerii (wzdłuż granicy wypączkował cały miniprzemysł blacharsko-ślusarski, przemytnicy zajmują się wyspecjalizowani Libañczy i kartel Joruba), do Czadu, Nigru i Burkina Faso. Często – aby obejść i tak na ogół mało restrykcyjne przepisy – z fałszowanymi dokumentami i tablicami. Kiedy Kenia wprowadziła zakaz importu samochodów starszych niż 8 lat, ruszyła kontrabanda z Ugandy. W Kenii liczba samochodów rośnie co roku o 12 proc. W Ugandzie średni wiek diesli to ponad 16 lat. Takie pojazdy odpowiadają starym normom emisji spalin Euro 2, podczas gdy Europa od 2015 r. ma już limity Euro 6.

Raport Programu Środowiskowego ONZ Ralarmuje, że wszystkie te wraki zapychają później pękające w szwach afrykańskie metropolie i w ponad 70 proc. odpowiadają za zanieczyszczenie środowiska. Konstatuje też, że nie ma żadnego regionalnego czy międzynarodowego porozumienia w sprawie ograniczenia handlu wysłużonymi samochodami. A przemysł motoryzacyjny nie poczuwa się tu do żadnej odpowiedzialności. Wystarczy, że kolejny problem udało się sprzedać do Afryki.

Wstydlivy serial

Cypr ma sensację kryminalną: pierwszego seryjnego mordercę, jak nazywają go media, ale jeszcze większe poruszenie wywołuje fakt, że w sprawie zaginionych kobiet nie było dochodzeń, bo to cudzoziemskie pomoce domowe. 35-letni kapitan Gwardii Narodowej (armii) Nikos Metaxa przyznał się do morderstwa pięciu kobiet z Filipin, Rumunii i Nepalu oraz ich dwóch córek, sześćo- i ośmioletniej. Kobiety poznawał prawdopodobnie na portalach randkowych, tak w każdym razie trafiono na jego trop. W swoim czasie zgłaszano zaginięcia kobiet, ale wszystkie powiadomienia lekceważono. Na liczący 890 tys. mieszkańców (po greckiej stronie) Cypr przypada 70–80 tys. zagranicznych pracowników, głównie pomoce domowe



z Filipin, Wietnamu, Sri Lanki, Indii i Nepalu. Przy okazji wyszło na jaw wiele nieprzyjemnych szczegółów dotyczących ich egzystencji. Ściągają je tu agencje, biorąc za pośrednictwo 2–7 tys. dol., które potem kobiety muszą spłacić z pensji. Zarobki oscylują wokół 400 euro miesięcznie, za 42 godz. pracy tygodniowo i jeden dzień wolny. To w teorii, bo do normy

należy 10 godz. pracy dziennie, pomoc bywa współopłacana przez trzy rodziny, żeby było taniej, wieczorami musi pomagać w restauracji albo szukać jeszcze dodatkowego zajęcia. Zerwać kontrakt, np. z powodu nagabywania seksualnego, można dopiero po pół roku, a jeśli nie znajdzie się szybko nowego pracodawcy, grozi deportacja. W opinii Kisy, organizacji wspierającej cudzoziemskich pracowników, warunki egzystencji ocierają się o niewolnictwo.

Teraz do dymisji podał się minister sprawiedliwości Ionas Nicolaou („to kwestia sumienia i zasad”), zdymisjonowano szefa policji, wznawia się popieszczenie dochodzenia w sprawie innych zaginionych kobiet. Ale najlepiej byłoby szybko skazać Metaxę, aby sprawy mogły się zacząć działać po staremu.



Ciężar korony

Król Tajlandii oficjalnie nałożył sobie koronę na głowę. Trzydniowa koronacja zakończyła proces przejmowania schedy po ojcu zmarłym w 2016 r. 66-letni **Rama X** jako książe znany był z małżeństw i rozwodów (właśnie ożenił się po raz czwarty) oraz dla równowagi kariery pilota wojskowego. Jako król

stara się przejąć tyle władzy, na ile pozwoli okoliczności.

Monarcha w Tajlandii odgrywa rolę stabilizatora i łącznika głęboko podzielonego społeczeństwa, np. obecnie rządzą bliscy dworowi wojskowi, broniący się przed naporem cywilno-demokratycznej opozycji. Z urzędu przysługuje mu status niemal półboga i wielu poddanych szczerze go szanuje, opornym i ewentualnym krytykom

pomaga prawo o monarszym majestacie, obwarowane m.in. karą 15 lat więzienia za znieważenie panującego.

Wystawna koronacja (sama 200-letnia złota korona waży 7 kg) przysięga się do umacniania autorytetu monarchii. W trakcie dwuipółletniego panowania Rama X przejął osobistą kontrolę nad urzędem zawiadującym majątkiem dworu, wartość należących do niego firm i nieruchomości szacuje się na 40 mld dol. Zbudował liczący 5 mln członków korpus wolontariuszy, którzy przed każdym czynem społecznym, np. zamiataniem ulic, mają obowiązek oddać hołd portretom władcy, te zresztą wiszą powszechnie w miejscach publicznych.

Daje o sobie też znać upodobanie monarchy do wojskowej dyscypliny. Ujednolicił odcień khaki mundurów policyjnych, a 400-tys. armia zaczęła strzyć się na wzór fryzur gwardii królewskiej. Natomiast dworzanom każe się recytować z pamięci kodeks służby dworskiej, instruujący posłuszeństwo i zakaz jakiegokolwiek reakcji nawet wtedy, gdy król wpadnie w gniew.

Przez zaniechanie

Sri Lanka pogrążona jest w żałobie po wielkanocnych zamachach na kościoły i luksusowe hotele, w których zginęło ponad 250 osób, w tym 40 cudzoziemców; obowiązuje zakaz zakrywania twarzy, trwa stan wyjątkowy – i proces rozliczeń. Radykalni muzułmanie z małej lokalnej organizacji NTJ kaznodziei Zahrana Hashima, którzy przeprowadzili samobójcze zamachy, byli znani policji, środowisko muzułmańskie (stanowią 10 proc. ludności wyspy) ostrzegało przed rosnącą w siłę grupą radykałów, ale dotychczas

nie było istotnych konfliktów z lokalnymi chrześcijanami (stanowiącymi jeszcze mniejszą grupę wyznawców). Jeszcze w grudniu policja odnalazła kryjówkę z materiałami wybuchowymi, ale nie miało to dalszych konsekwencji. W marcu wywiad indyjski przekazał szczegółowe informacje na temat planowanych zamachów, z przesłuchaniem jednego z dżihadystów ISIS, ale zlekceważono je. ISIS, po fakcie, ogłosiła, że stoi za zamachami; kilkunastu Lankijczyków walczyło w jej szeregach w Syrii i Iraku. Sam Hashim wysadził się w jednym z hoteli, co zamieni-

ne, zamachowcy byli dobrze wyszkoleni i sytuowani, jeden z nich studiował inżynierię kosmiczną w Wielkiej Brytanii, dwaj byli synami jednego z największych na wyspie handlarzy przyprawami.

Ale to nie oni byli na celowniku służb, które zajmowały się głównie tym, aby nie odrodził się terrorizm tamilski. Ten celownik był zresztą od wielu miesięcy rozregulowany z powodu zimnej wojny prezydenta z premierem. Prezydent Sirisena próbował odsunąć od władzy swojego dawnego sojusznika premiera Wickremesingę i mianował niedawnego wroga obu, autorytarnego byłego prezydenta Rajapakse. Ale Sąd Najwyższy przywrócił wszystko tak, jak było. W tej sytuacji ginęły ważne despesze, a Rada Bezpieczeństwa Narodowego stała się całkiem papierowym. Na ten bałagan Rajapaksa ma gotową receptę: lansuje swojego brata Gatabaya, dawnego ministra obrony, który dobrze znanymi sposobami chętnie przywróci porządek.



Adwokat jak marzenie

Trzy miesiące – tyle czasu zajęły prezydentowi Trumpowi poszukiwania nowego prokuratora generalnego, po tym jak jesienią zdymisjonował Jeffa Sessionsa. Ale chyba się opłaciło.

William Barr, jak napisał w niedzielę na Twitterze Trump, „spełnia moje najskrytsze marzenia”. 68-letni prawnik z bogatym doświadczeniem w poprzednich republikańskich administracjach, choć formalnie jest najwyższym prokuratorem broniącym konstytucji USA, według przeciwników Trumpa jest dziś osobistym adwokatem prezydenta.

Spór o Barra wybuchł w związku z tzw. raportem Roberta Mullera. Miał on ukazać ewentualną współpracę między sztabem Trumpa i Rosjanami podczas kampanii prezydenckiej w 2016 r. Na to dowodów zabrakło, ale autor raportu wskazuje kilka przypadków, gdy prezydent próbował utrudniać śledztwo. Barr jako prokurator generalny jest „gospodarzem” tego raportu i trzy tygodnie temu opublikował go po ocenzurowaniu. Kongres domaga się jednak pełnej wersji i dlatego wezwał Barra na przesłuchania. Podczas pierwszego z nich – przed senatorami – prokurator wprost skłamał, twierdząc, że Muller nie ma zastrzeżeń do jego interpretacji raportu, choć miał, i to zasadnicze. Przed Izbą Reprezentantów Barr już się nie stawiał.

Część znajomych Barra twierdzi, że wcale „nie sprzedał duszy” (i zawodowej reputacji) Trumpowi – jest tylko zagorzałym zwolennikiem silnej władzy wykonawczej i broniłby tak zacięcie każdego prezydenta. Ale w Waszyngtonie krąży ciekawsza teoria: Barr świadomie ignoruje i prowokuje Kongres, bo w Białym Domu ktoś wyliczył, że gdyby udało się sprowokować demokratów do rozpoczęcia procedury usunięcia prezydenta z urzędu, Trump miałby reelekcję w kieszeni.



Premier podczas kwietniowej konwencji PiS
w kurpiowskim Kadzidle
(w tle widok na Podhale).



Wróbelek pływa jak rekin

Jego wystąpienia to połączenie piarowskich trików, fraz peerelowskich dygnitarzy i banałów podobnych do tych, którymi ochoczo dzielą się rozmaici trenerzy personalni, mentorzy i influencerzy. Mateusz Morawiecki wniósł do polskiej polityki prawdziwe retoryczne perły.

MALWINA DZIEDZIC

Schemat terenowych wystąpień premiera zwykle jest podobny. Jakaś lokalna ciekawostka, nawiązanie do historii i próba wykazania osobistych związków z regionem. Potem garść frazesów, trochę pytań retorycznych, parę cytatów z klasyków, kilka wstawek motywacyjnych i bombastyczna metafora. No i najważniejsze: przywołanie rozmowy z panią Haliną, z panią Zofią, z panem Danielem, Henrykiem, z górnikiem, sadownikiem, gejmerem... Tak oto swój wizerunek buduje Mateusz Morawiecki: już nie technokrata, który ma oczarować zagranicę, a na krajowym podwórku wabić centrowy elektorat, ale swojak: pisowiec z krwi i kości, nieskalany związkami z liberałami, elitami, zachodnimi instytucjami finansowymi i przede wszystkim z III RP. A że w świecie PiS wolą prezesa i białe może być czarne, to i były

doradca Donalda Tuska, milioner i niegdysiejszy szef polskiej filii zagranicznego banku z dnia na dzień może stać się człowiekiem z ludu.

– *Ludzie najęci do pracy nad wizerunkiem premiera dostali za zadanie przełamanie sztywności Morawieckiego, ponieważ to jego największy problem. I pojechali taką książkową strategią, przerobili z nim pierwsze rozdziały z podręcznika do politycznego PR – zauważyła dr Mirosława Oczkoś, specjalista ds. wizerunku. Co zaś mówi taki elementarz?*



Nawiąż do tematu lub okoliczności. I premier z patosem nawiązuje. Jak na niedawnej konwencji w Białymstoku, gdzie perorował: „Jesteśmy na podlaskiej ziemi, która znana jest z gościnności. Ziemia otwartych okiennic (...). Z tej ziemi, właściwie z tego miasta wywodzi się też wspaniały białostoczanin Ryszard Kaczorowski (...). I on mawiał, że najpełniej oddycha na białostockich

plantach, ja też mogę powiedzieć, że właśnie wspaniale czuję się na podlaskiej ziemi, na mazurskiej ziemi, na warmińskiej ziemi, to ziemie, które są mi niezmiernie bliskie, bliskie mojemu sercu, tutaj wspaniale się oddycha”. Albo kilka tygodni wcześniej na konwencji w Kadzidle: „Tak kronikarz zresztą pisał: Kurpi ród, dzielny lud. I dodawał, że to lud pracowity, uczciwy i dobry. I dlatego trudno się dziwić, że PiS tak dobrze się czuje tutaj na Kurpiach, na Kurpsiach, jak u siebie w domu, jak u siebie”. Czy też na „urodzinach 500+”: „Tutaj jesteśmy w Puławach. W Puławach jest Świątynia Sybilli, a tam taki napis: Przeszłość-Przyszłość. No trudno sobie wyobrazić lepsze miejsce niż właśnie Puławy na podsumowanie naszego programu”. Lub w ostatnią sobotę w Pułtusk: „Mamy piękną pogodę. Ale, jak to z pogodą, czasami może się ona szybko zepsuć. Dzisiaj na razie mamy słońce, trochę chmur i tak samo trochę jest w naszej historii, w naszych dziejach i w naszej teraźniejszości. Pokazaliśmy, jak pogodę można wykorzystywać dla dobra całego narodu, dla dobra całego społeczeństwa. Ale jesteśmy dopiero w jednej trzeciej, no może jednej drugiej naszej drogi, którą sobie wytyczyliśmy”.

Napuszone, ocierające się o grafomanię metafory są u Morawieckiego częste. Zanim został premierem, latem 2017 r. w Przysusze mówił, że Polska „to ma być matka, która ma dobrze służyć wszystkim, a my wszyscy powinniśmy jej służyć”. Teraz zaś mamy „Polskę, która jest bijącym sercem Europy” (to nawiązanie do wyborczego hasła PiS), i UE, która „troszeczkę przypomina las”. A „las ma różne drzewa. One są, i cały las, właśnie dlatego piękne, że są trochę różne. Siła UE jest właśnie w różnorodności, ale zarazem w jedności. Ten ogrodnik czy leśnik (...) musi traktować drzewa tak samo, bo jak jedno będzie lepiej traktował, przycinał, a inne gorzej, to wtedy te drugie uschną” (konwencja w Poznaniu). Mamy też: „okno na świat”, którym w zależności od okoliczności jest albo Centralny Port Komunikacyjny (konferencja w Łodzi), albo – jak na konwencji w Gdańsku – Bałtyk („To okno na świat będzie wyremontowane, będzie jeszcze szerzej otwarte, będzie jeszcze bardziej nowoczesne”). I „kulę u nogi” polskiego rozwoju gospodarczego, którą podczas spotkania w Poznaniu są unijne nierówności, a w Warszawie – problemy demograficzne. Bywa i osobliwie: „Czy można też wymagać, żeby wróbelek pływał tak samo sprawnie jak rekin? No nie bardzo, wiadomo. A tak twórcy III RP zakładali. Że małe, drobne przedsiębiorstwa rolne, rolno-spożywcze, producenci rolni będą tak sprawni jak wielkie korporacje, zresztą w szczególności z zagranicy” (Kadzidło).

Zawrzyj osobiste odniesienia lub podziękowania.

Po okolicznościowym wstępie premier chętnie dzieli się własnymi doświadczeniami. Jak podczas kwietniowej konwencji w Poznaniu: „Mieszkalem tutaj, no myślę, że jak by się zebrało ze sobą wszystkie miesiące, tygodnie, to grubo ponad kilkanaście miesięcy”. W Łodzi – gdzie w kontekście „spuścizny porozbiorowej” wspominał podróże z Wrocławia do Warszawy via Opole lub Poznań; czy w Białymstoku – gdzie opowiadał, że bardzo lubi komedię „Gamoń” z Louisem de Funèsem, której fabuła jakoś mu się skojarzyła z barierami napotykanymi przez polskich przedsiębiorców w UE. Albo jeszcze bardziej osobistymi, jak w Wąwolnicy, jeszcze w poprzedniej, samorządowej kampanii: „Tydzień temu byłem poczęstowany polskim, tradycyjnym bardzo twarogiem, aż mi się ze smaku zakręciło w głowie”.



Cytuj. Premier lubi Piotra Skargę – przywoływał go na spotkaniu z seniorami w Jasieńcu i na Kurpiach: „Jak pięknie to formułował nasz kaznodzieja narodowy (...), wszyscy płyniemy na jednej łodzi i jej imię jest ojczyzna. A więc, drodzy państwo, cios w polską wieś to cios w Polskę”. Jest w tym wszystkim jednak wciąż spora sztywność.

Podobnie, kiedy Morawiecki **stawia pytania retoryczne**. Jak: „Kto z nas nie kocha rozwoju dróg albo kolei? Wszyscy je kochamy” (konferencja na temat 500+). Takich pytań – często brzmiących dość protekcyjnie – postawił wiele, np. w Świebodzinie, w połowie września ub.r. Przebiło się jedno: „Pamiętacie, jak nasi poprzednicy mówili, że budujemy nie politykę, tylko drogi i mosty? Prawda, pamiętacie coś takiego? Nie było ani dróg, ani mostów”. I stwierdzenie, że poprzednia władza przez osiem lat wydała na drogi lokalne mniej niż PiS przez kilkanaście miesięcy swoich rządów. Premier, decyzją sądu, musiał to sprostować. Tak jak i słowa z krakowskiej konwencji samorządowej, na której powiedział, że władze Krakowa „nie zrobiły nic lub prawie nic” w walce ze smogiem. Ale faktami Morawiecki nieszczerze się przejmując, zwłaszcza jeśli te nie pasują do opowieści o błędach i zaniedbaniach poprzedników. Kilka tygodni temu na dworcu w Płońsku opowiadał np., że aby z podwarszawskiego Błonia dojechać busem na 8.00 rano do stolicy, trzeba wstać o 5.00. Oczywiście, można wstać i o 3.00, tyle że pociągi oraz autobusy jadące do Warszawy kursują co kilkanaście minut.

Wpadek jest więcej, zwłaszcza kiedy premier próbuje **wplatać jakieś zaskakujące twierdzenia**. Jak to: „Porównywanie OFE do PPK to trochę tak, jakby porównywać Pawła Borysa do Borysa Szyca. Paweł jest wyższy, dużo, no nie wiem, czy dużo, tak mi się wydaje. A z Borysem Szycem zresztą miałem okazję poznać się na planie filmowym »Bitwa Warszawska: 1920«”. Aktor szybko zareagował na to dziwaczne zestawienie i zaapelował do premiera: „Proszę mnie nie mieszać do polityki w swoich błyskotliwych wystąpieniach. Zwłaszcza w tak trywialny sposób. Wystarczy już nam recytacja fraszek”. Szyc wypomniał Morawieckiemu zmkosowaniu Kochanowskiego z Mickiewiczem podczas jednej z konferencji w 2017 r. A szło to tak: „Służba zdrowia, wielki obszar, o którym można bardzo długo mówić, prawda, we fraszce Kochanowskiego »Szlachetne zdrowie«, prawda, »ile cię trzeba cenić«, czy tak »jako smakujesz, aż się zepsujesz«, prawda, czyli wtedy dopiero wiemy, kiedy brakuje nam tego zdrowia, jak ono jest absolutnie kluczowe”.

Choć i Polskę, i świat Morawiecki najmocniej zadziwił zestawieniem pisowskiej reformy systemu sądownictwa z powojennym rozliczaniem kolaborującego z Hitlerem francuskiego reżimu. „Dla mnie ta sytuacja jest porównywalna do sytuacji we Francji post-Vichy. Wtedy to premier Michel Debré i Charles De Gaulle w 1958 r. całkowicie przebudowali system” – mówił na Uniwersytecie Nowojorskim. Nawet jemu samemu trudno to będzie przebić. Może dlatego w ubiegłym tygodniu na łamach magazynu „Polska” zaczął w końcu zaprzeczać, że te haniebne słowa odnosiły się do współczesnych polskich sędziów.



Podręczniki do politycznego PR podpowiadają jeszcze, aby: **opowiedzieć coś zabawnego; postawić wyzwanie; wyrazić osobiste intencje; a także dodać obrazowy przykład**. Również te punkty Morawiecki pilnie przerabia. Dowcipy są z reguły dość czerstwe, za to wyzwania ambitne: „Kto z nas tu obecnych, z naszych rodaków, wierzy, że za 10 lat możemy być częścią G20? Ja wierzę, ja wiem, że to jest możliwe” – mówił pod koniec marca w Gdańsku. ►

► Na tym przykładzie widać zmianę stylu oratorskiego Morawieckiego. Jeszcze jako wicepremier na kongresie w Przysusze perorował: „Jakie następne zadania przed nami? Czy mamy gonić Zachód w wielkości majątku? (...) A może to nie są te właściwe zawody? Bo tam możemy gonić 100 lat. A może to nie są te najważniejsze zawody. Może ważniejsze jest to, żebyśmy budowali nasz świat, Polskę, też w wymiarze nie tylko materialnym, ale też tym duchowym. Żebyśmy stawiali się coraz lepsi jako ludzie, żeby nam się chciało chcieć, żebyśmy byli bardziej solidarni, żebyśmy byli lepsi”.

Dziś już nie przemawia z takim kaznodziejskim zacięciem, przypominającym nierzadko wystąpienia Jarosława Gowina. Jeśli szuka gdzieś inspiracji, to prędzej w modnych coacherskich szkoleniach, na których można usłyszeć, że „wszyscy patrzą w różne gwiazdy”, ale po kilkunastu wspólnych sesjach „będą spoglądać w tę jedną”. Motywacyjna gadka upstrzona porównaniami à la Paulo Coelho w premierowskim wydaniu wygląda np. tak jak w Pułtusku: „Żagiel z niebieskiej flagi i tych żółtych pięknych gwiazdek jest bardzo ważnym żaglem dla naszego okrętu, który płynie po wzburzonych morzach, przy tej cały czas jeszcze niezłej pogodzie, pogodzie historycznej, dziejowej. Ale sam żagiel europejski, bardzo ważny dla nas, nie wystarczy. Ważna jest sprawa patriotyczna załoga. Ważny jest lider, kapitan, takiego mamy – prezesa Jarosława Kaczyńskiego”. Pozostałości korporumy wciąż dają o sobie znać – premier dziękuje za „energetyczną obecność”, kandydaci PiS są „energicznymi liderami”, partia ma „energetyczny program”, a ekipa PiS to „dream team”.

Morawiecki, zgodnie z elementarzem PR, szczególną wagę – jak już wspominałam – przywiązuje do **przywoływania rozmów z tzw. zwykłym człowiekiem** – samotną matką, jakimś kolegą, emerytką (słynna „pani Halina”, którą dzięki „jarkowemu” stać na pielgrzymkę do Medjugorie). Ale bywa, że i dziecko ministra nadaje się do snucia opowieści o niesprawiedliwościach, z którymi walczy PiS – jak ostatnio, kiedy Morawiecki wspominał o „maślanych ciasteczkach”, które Joachim Brudziński musi przywozić synowi aż z Brukseli. – *Odwoływanie się do zwykłych ludzi to dobry sposób na złapanie kontaktu z elektoratem PiS, lepszy niż przywoływanie przykładów historycznych czy literackich, które nie wszyscy mogą zrozumieć* – mówi dr Sergiusz Trzeciak, ekspert od PR i komunikacji strategicznej.

– *To użycie pewnej reguły wywierania wpływu. Wkłada się w usta osoby, z którą ludzie mogą się utożsamiać, to, co samemu się myśli – np. ustami zwykłego człowieka krytykuje się opozycję. W ten sposób premier pokazuje, że rozmawia z normalnymi ludźmi. Morawiecki walczy z wizerunkiem osoby, która reprezentowała świat biznesu, i taki zabieg może się zwykłym ludziom bardziej podobać niż chwalenie się kontaktami z przedstawicielami elit. To próba budowania wizerunku „swojskiego” polityka.*

Ale – jak słyhać w szeregach PiS – ta „swojskość” premiera wciąż jest zbyt sztuczna. Dlatego w eurokampanię mocno zaangażowano Jarosława Kaczyńskiego i Beatę Szydło. Występują w trójpaku. Prezes utwardza żelazny elektorat, Szydło daje poczucie swojskości, a Morawiecki stara się angażować tych, którzy chcą Europy, ale zgodnej z własnymi wyobrażeniami. Zarzucono pomysł marszu po wyborcze centrum; gra idzie o jak największą mobilizację własnego, stałego elektoratu. – *Najwyższej mają podobne badania jak my, widzą, że wszystko jest podzielone i tylko emocje mają znaczenie. Tu nie chodzi o to, kto kogo przekona, ale o to, kto pójdzie do wyborów* – tłumaczy jeden z członków władz PO. Jego zdaniem po dotychczasowych wypowiedziach

liderów PiS widać, że nie ma już żadnych granic: są w stanie powiedzieć wszystko, byle wywołać emocje, pobudzić swój elektorat i zdemobilizować wyborców Koalicji. Prawda nie ma znaczenia, tylko frekwencja. – *Zmobilizowanie twardego elektoratu w kontekście wyborów do PE jest ważniejsze niż próba szukania na siłę nowych wyborców, bo trudno jest osiągnąć dwa w jednym* – mówi dr Trzeciak.

– *Premier stosuje technikę na akwizytora; kiedyś tak się sprzedawało Biblię lub kowadła. U Morawieckiego to wymieszanie kłamstwa, półprawdy i prawdy w jednym sosie. Jeżeli taką papkę dostaje się codziennie, to w pewnym momencie zaczyna się ją po prostu przełykać* – tłumaczy dr Oczkoś. Morawiecki mówi językiem „Wiadomości” TVP – uprawia propagandę sukcesu i jednocześnie utrwała dychotomiczny podział: my vs oni. Beztrudno formułuje zarzuty pod adresem adwersarzy, przerysowuje, koloryzuje, przekłamuje. Premierowi zdaje się nie przeszkażać nawet jego własna przeszłość, doświadczenie zawodowe, przynależność do elity finansowej (z tak mierzących go teraz czasów III RP pamięta co najwyżej, że „sam negocjował wejście Polski do UE”). „Jak myślę sobie o III RP, to często przychodzą mi do głowy różne, brzydkie nawet, epitety. Ale jedno jest pewne, że: krzywda nad losem prostego człowieka i śmiech nad tą krzywdą to była właśnie cecha charakterystyczna. (...) Mieliliśmy zaserwowany kapitalizm konsumpcyjny zainstalowany tutaj przez zewnętrzną zagraniczną instytucję finansową rękami naszych, no właśnie, elit. To właśnie ten typ doprowadził do takich rozdźwięków, do takich nierówności” – mówił w Przysusze, jakby zapominając, że szefował BZ WBK, a w słynnej restauracji Sowa i Przyjaciele sukces reklamy swojego banku z udziałem sobowtóra Chucka Norrisa komentował: „Ludzie są tacy głupi, że to działa. Niesamowite!”.

Szablonowe przemówienia, wyuczone **gesty**: dyrgowanie i charakterystyczne taktowanie (dwie ręce w płaszczyźnie góra–dół), znane chwyt (podwijanie rękawów, zdejmowanie marynarki, okularów) – czy to może działać na ludzi? Widać tak, skoro premier ma wciąż wysokie zaufanie społeczne (55 proc. w kwietniowym badaniu CBOS). – *Kampanie polityczne mają masowy charakter. I to jest słowo klucz, ponieważ dużo łatwiej wzbudzić i pokierować emocjami tłumy. To zupełnie inny wymiar oddziaływania. Tłum nie myśli samodzielnie, nie analizuje. Przeswaja. Będąc w tłumie, myślimy jak tłum. Niewielu ludziom udaje się zachować dystans – tłumaczy Bartosz Czupryk, specjalista ds. marketingu politycznego.*

– *Wystarczy poruszyć wyobraźnię słuchaczy, dotknąć ich problemów i doświadczeń, wywołać emocje: wzmocnić, przejąć i ukierunkować* – dodaje.

– *W „Rejsie” jest taka scena, kiedy inżynier Mamoń mówi: „Mnie się podobają melodie, które już raz słyszałem. Po prostu. Poprzez reminiscencje. No jakże może podobać mi się piosenka, którą pierwszy raz słyszę?”* – przypomina Wiesław Gałązka, doradca polityczny. – *Trzeba więc postępować zgodnie z zasadą: najpierw powiem wam, co powiem, potem będę mówił to, co miałem powiedzieć, a na końcu opowiem wam, o czym wam mówiłem. I Morawiecki to robi, a ludzie, w tym komentatorzy, się cieszą, bo czują się mądrzejsi, kiedy kolejny raz słyszą to samo. Utwierdzają się, że wszystko rozumieją i podobnie myślą.*

Choć mimo wszystko chciałoby się wierzyć, że za decyzjami wyborczymi stoi coś więcej niż emocje podobne do tych, które przesądzały o kupnie Biblii, kowadła lub wzięciu kredytu reklamowanego przez Chucka Norrisa.

MALWINA DZIEDZIC